

O RÓŻNOŚCIACH

CZEŚĆ 20

Tak to już jest w życiu prawie każdego człowieka, że zdarza mu się od czasu do czasu myśleć, a od czasu do czasu – nie. Nie wiem, co jest tego przyczyną. Zapewne uczeni, których teraz pełno, mają już na to gotową odpowiedź. Daleko mi do uczonego, więc się zastanawiam, bo nie mam gotowej odpowiedzi, za to wiele wątpliwości. Wygląda na to, że podczas zastanawiania się człowiek myśli. Myśleć można mądrze, ale także głupio. Bywa, że im dłużej się zastanawiam, tym większe palnę głupstwo. Więc nie zastanawiam się zbyt długo i, powiedziałbym, walę prosto z mostu. Czy głupio, czy nie – to już pominę, niech inni to oceniają.

Wspomniałem już wcześniej w tym cyklu, że wszyscy moi znajomi nie stosowali i nie stosują żadnej diety. Odżywiają się jak typowi wszystkożercy. Trochę tego, trochę tamtego, nie patrząc na białka, tłuszcze i węglowodany. Niektórzy dużo „smakują”. Nie spowiadali mi się dokładnie ze swojego sposobu odżywiania. Tym różnią się od dzisiejszych „wszystkowiedzących” o jedzeniu, którzy pouczają innych, jak powinni jeść, a czego unikać. Internet jest zalany treściami dotyczącymi „papusiania”. Niech mi w takim razie ktoś wytłumaczy, dlaczego ci pierwsi – a naliczyłem ich sporo – żyli długo bądź jeszcze żyją, a ci zainfekowani jedynymi słusznymi dietami narzekają na brak zdrowia?

Jedyne, co przychodzi mi na myśl, to geny. To one są niesłusznie pomijane, a ich znaczenie umniejszane, jeśli chodzi o stan zdrowia. Żeby nie głądzić zbyt długo, bo to temat rzeka, uważam, że osób nastawionych – szczególnie w obecnym stuleciu – na żywienie jako najważniejszy składnik długowieczności, po prostu obrodziło. Dlaczego? Ano dlatego, że mogą mącić w głowach głupkowatej większości, która przyjmie – to znaczy przełknie – wszystko, co podadzą jej media. Ci nieulegający modom jedzeniowym robią swoje i nawet nie myślą zrezygnować z dotychczasowych nawyków. Mają gdzieś zalecenia. I tak trzymać!

Od kilkudziesięciu lat coraz więcej mówi się o eutanazji. W XXI wieku temat ten – jak wiele innych – od czasu do czasu „wypływa” na czołówki mediów. Choć ginie on w natłoku informacji, zawsze powraca jak bumerang. Rozbieżność poglądów na temat odbierania sobie życia jest oczywista: ile istnień, tyle opinii. Niemniej jednak koncentrują się one zasadniczo wokół akceptacji takiej formy odejścia bądź jej całkowitej negacji. Jak to zwykle bywa, istnieje też trzecia droga: „tak, ale z oporami” oraz „nie, ale z zastrzeżeniami”. Emocje są ogromne, a polaryzacja przekonań wyjątkowo silna.

Jestem tym tematem osobiście zainteresowany, ponieważ mój czas nadchodzi. Moje życie, moje ciało, moje zdrowie, moja wolność – to sprawy, które należą do mnie. Logicznie rzecz biorąc, skoro one wszystkie są moje, to ja powinienem decydować o sobie, a nie inni. Dzieje ludzkości potoczyły się jednak tak, że dla wolności jednostki w podejmowaniu decyzji dotyczących własnych przekonań zostawiano niewiele miejsca. I tak dzieje się do dziś. Często czuję, że nie mam nic do powiedzenia, bowiem inni zawłaszczają sobie to prawo, narzucając własny punkt widzenia i nie uwzględniając mojego.

Tak nie powinno być. Każdy wcześniej czy później będzie musiał dokonać wyboru zgodnego z własnym sumieniem. Podkreślam: własnym. Oby tylko sumienia innych mu w tym nie przeszkadzały, dokonując zamachu na jego godność w imię moralności, etyki, prawa, religii bądź jakichkolwiek innych racji.

Armin Navabi w książce *Dlaczego Bóg nie istnieje?* postanowił odpowiedzieć na 20 argumentów mających świadczyć o Jego istnieniu. To wszystko kwestie dawno już oklepane – zarówno te „za”, jak i „przeciw”. Wybrałem dwie z nich.

Pierwszą dlatego, że wiele lat temu, podczas rozmowy ze starszym o dziesięć lat znajomym, zadałem mu pytanie: „Dlaczego wierzysz w Boga?”. Podjąłem pewne ryzyko, ponieważ z mojego doświadczenia wynika, że reakcje na takie pytania bywają różne (nie będę ich tutaj przytaczać). Znajomy, będący zagorzałym katolikiem, odpowiedział mniej więcej tak: „Gdybym w Boga nie wierzył, trafiłbym do piekła”. „No a co, jeśli Go nie ma?” – zapytałem. „Jeśli Boga nie ma, to nic na tym nie tracę”.

Pomyślałem sobie wtedy, że to trochę cwaniactwo i asekurantwo. Taka wiara wydała mi się nie do końca prawdziwa – to czyste kunktatorstwo. Uznał, że na wszelki wypadek lepiej w Boga wierzyć. Nie drażyłem tematu, bo mogłoby się to skończyć zerwaniem znajomości.

Drugie pytanie brzmi: czy wiara w Boga nadaje życiu sens i cel, a bez Niego byłoby ono tego sensu pozbawione? Autor uważa, krótko mówiąc, że poza religią życie również może mieć sens, a „religijne twierdzenia są bezpodstawne”. Podszedłbym do tego inaczej. Zgadzam się z pierwszym stwierdzeniem, ale co do drugiego mam poważne wątpliwości.

Spieranie się o sens i cel jest, moim zdaniem, mało zasadne. Jeśli ktoś chce wierzyć w Boga – niech wierzy. Widocznie ma takie wewnętrzne przekonanie i potrzebę. A jeśli nie chce – to nie. Jego wybór. Mylić się mogą jedni i drudzy. Nie ma żadnej pewności co do prawdy, którą każda ze stron próbuje innym, czasem na siłę, „wpychać do łepetyny”. Pozostaje tylko kwestia wzajemnej tolerancji dla odmiennych poglądów. A z tym, niestety, ludzie od tysiącleci mają największy problem.

W grudniu 2025 roku media internetowe doniosły, że Polacy zostali mistrzami świata w piłce nożnej sześcioosobowej (socca). Proponuję zorganizowanie mistrzostw świata w piłce nożnej w mniejszych składach. Jestem przekonany, że najlepszy byłby format jeden na jednego, czyli w piłce jednoosobowej. Zmierzyliby się w niej wyłącznie bramkarze.

Bramki ustawiono by w odległości mniej więcej 11 metrów. Jeden bramkarz strzelałby drugiemu, co oznacza, że raz byłby bramkarzem broniącym, a raz strzelającym. Obaj staliby na linii bramkowej. Mamy dobrych golkiperów, więc nie powinno być źle. Trzeba tylko zacząć od utworzenia ligi, potem rozgrywek międzynarodowych, a w końcu mistrzostw świata.

Może tego typu mecze stałyby się po pewnym czasie konkurencyjne dla tych „klasycznych”. Nie byłoby nudnych przerw czy półgodzinnych przestojów, kiedy na boisku nic się nie dzieje, bo wszyscy biegają za piłką bez efektów. Tu by się działo, oj działo! To jakaś odmiana, a przecież w piłce nożnej chodzi o strzelanie bramek. Sądzę, że w tych jednoosobowych potyczkach padałyby one znacznie częściej, a robinsonadami zachwycano by się co chwilę. Szczegóły dopracowałyby krajowe związki piłki nożnej. Warto tę propozycję rozważyć.

Niemal każdy człowiek jest święcie przekonany, że tylko on ma rację. Problemy przewijające się w sieci dobitnie na to wskazują: gdy tylko ktoś się „wychyli”, natychmiast ogłasza swoją nieomyślność. Są też tacy, których nikt nie potrafi z tego przekonania „wyzwolić”. Próby udowodnienia komukolwiek błędu kończą się często w sądach. Dzisiaj doszło już do tego, że wraz ze wzrastającą liczbą oponentów poziom poróżnienia przekroczył wszelkie granice. Stanęliśmy przed ścianą – a jeśli nie przebijemy muru głową, to czym?

Gwoli sprawiedliwości istnieją też ludzie, którzy wolą nie ufać sobie i wierzą innym, uznając ich za nieomyślnych. Tych wcale nie jest mało. To jednak również rodzaj niezłomnego przekonania, które nie zawsze się sprawdza. Twierdzenie, że to inni mają rację, jest niemal tożsame z posiadaniem własnej – tacy ludzie przyłączają się do grupy tylko po to, by nie żyć w osamotnieniu.

Na koniec zostawiłem tych, którzy – niezależnie od liczebności grupy, w której się znajdują – mają wszystko w głębokim poważaniu. Może to właśnie oni mają rację? Tak uważają i mają do tego prawo. W końcu jeśli wolność, to wolność – tak ją przynajmniej rozumieją.

Media głównego nurtu, czyli mainstreamowe, mają duży zasięg, natomiast te drugie – zwane niszowymi bądź alternatywnymi – mały. Jasne jak słońce. Mieć duży zasięg to duża sprawa, a mały to mała, maleńka albo prawie żadna. Skąd się wzięły jedne i drugie?

Te duże wypłynęły już dawno, bo na początku lat 90. – zaledwie trzydzieści parę lat temu. Mam tu na myśli media polskie, choć prawdę mówiąc, już mi się poplątało, które z nich rzeczywiście są polskie i jak powstawały. Pomijam jednak ten wątek – trzymajmy się mediów polskojęzycznych, ale nie zbliżajmy się do nich zanadto.

Ponieważ są to źródła, w pewnym momencie musiały „wybić”, a skoro tak, to znalazły ujście. Początkowo płynęły wolno, lecz nurt niektórych stawał się coraz bardziej wartki, gdyż zbierał kolejne dopływy. To, co do nich wpadało i przyspieszało bieg, nie jest żadną tajemnicą. Nie będę też dochodził, dlaczego jedne zasilają coś więcej, a inne nie. Czas mijał, a media wspierane licznymi dopływami rwały tak mocno, że niosły ze sobą prawie wszystko, co napotkały. W tym samym czasie małe strumyki sączyły się powoli, ledwo zauważalnie, bo nikt ich nie zasilął. Trzeba jednak przyznać, że nie chciały łączyć się z tymi dużymi. Jasne – gdyby do nich wpadły, byłoby po nich; popłynęłyby dalej z głównym nurtem.

Patrząc na dzisiejszy stan mediów, trzeba jednoznacznie stwierdzić, że te główne mają się na ogół dobrze. Królują i rozpychają się na pierwszych stronach Google oraz w innych wyszukiwarkach. Gdy zacznie się czegoś szukać, trzeba najpierw przebrnąć przez wiele wartkich, szerokich nurtów, a dopiero po dłuższym czasie zaczynają „wypływać” te małe. Czemu tak się dzieje? Niech każdy odpowie sobie sam.

Postanowiłem dowiedzieć się czegoś o Hunzach. Chciałem zobaczyć ich na filmie, gdyż wolę korzystać z obrazów – póki co jeszcze naturalnych – niż ze słów, które są coraz bardziej przeinaczane. Obejrzałem jeden materiał, bo nie był zbyt długi. Wynika z niego, że żyją od 120 do 140 lat, choć nie powiedziano, czy dotyczy to wszystkich, czy tylko niektórych. Podkreślano natomiast, że swoją długowieczność zawdzięczają diecie.

Czegóż w niej nie ma! Są owoce, warzywa, pełnoziarniste zboża, orzechy itp. Mięso spożywają rzadko, nabiału też niewiele, a cukru prawie wcale. Ma się rozumieć, że żywności wysokoprzetworzonej nie znają w ogóle. Jeśli już coś przetwarzają, robią to sami – pytanie tylko, czy smakuje to tak dobrze, jak na przykład nasze jedzenie z McDonalda. Sądzę, że trzymają się tak dobrze, bo nigdzie nie wyjeżdżają; co najwyżej chodzą po pobliskich górach. Gdyby jednak przyjechali w nasze strony i trochę tu pożyli, jestem pewny, że część z nich już by nie wróciła. Więcej byłoby ich w diasporze niż w górach Pakistanu. A i tak jest ich mało, bo zaledwie około 30 tysięcy. Po pobycie w krajach zachodnich i powrocie do rodzinnych wiosek zaczęliby się bić i wyginęliby doszczętnie – jak wiele plemion im podobnych po kontaktach z tą ponoć nowoczesną cywilizacją.

Brak takich konfliktów był do tej pory przekonującym dowodem na ich długie i spokojne życie. Czy jednak jest ono szczęśliwe? Tutaj miałbym wątpliwości. Szczęście dopadłoby ich dopiero wtedy, gdyby mieli telewizję, komputery i smartfony, a jedli pizzę popijaną coca-colą, zagryzając na deser lodami i czymś „procentowym”. Chwali się Hunzów za długie wędrówki po skalistych zboczach. To akurat nie jest bezpieczne, bo można się zranić albo nawet zabić. To, że nie zapadają na tzw. choroby cywilizacyjne, też niewiele mówi. Może chorują na coś przewlekłego i z tym dożywają do tych 140 lat?

Hunzowie nie znają dietetyków ani medyków. Gdyby wpuścili ich do swoich osad, nastąpiłaby katastrofa – średnia długość życia w krótkim czasie spadłaby do 50 lat. Wybrani Hunzowie, poddani badaniom lekarskim, nie wytrzymałoby ich. Zamknięci w laboratoriach,

przykuci do łóżek i podpięci do rurek, wyginęliby w ciągu paru lat, a może i szybciej. Mieli niebywale szczęście, że jeszcze nie pojawili się u nich dietetycy ze swoimi natarczywymi, nachalnymi zaleceniami na temat zdrowego odżywiania.

W celach profilaktycznych nie powinni niczego z zewnątrz sprowadzać ani zażywać. Najlepszym zabezpieczeniem byłyby tablice ustawione na skalistych zboczach przy osadach, informujące o zakazie wstępu dla osób w maseczkach oraz białych bądź niebieskich kitlach, które pacjenci krajów Zachodu muszą oglądać nie tylko w telewizji, ale przede wszystkim na własne oczy. Zakaz wstępu powinien obowiązywać również panów z walizeczkami wypełnionymi receptami i mamoną, śpieszących prosto z koncernów farmaceutycznych.

Nie wiem, jak u Hunzów wygląda kwestia wiary, ale przydałyby się też tablice z napisem: „Boże, chroń nas przed cywilizowanym światem”. Od nadmiaru takich ostrzeżeń na pewno ich stan zdrowia by się nie pogorszył.

Tyle się mówiło, mówi i pisze o bogach. Bogowie byli zawsze, od samego początku. Dzisiaj też ich nie brakuje. Nie rozstrzygam, czy dawniej było ich więcej, czy mniej. Wierzący są wszyscy, o czym już wzmiankowałem, bo jedni wierzą, że Bóg jest, a inni, że Go nie ma. To logiczne. Kwestią do ustalenia pozostaje tylko to, w jakiego Boga wierzą ludzie uznający Jego istnienie. Z tego się nie wykaraskam. Może zacznę od tego, że każdy ma swojego boga. Ten religijny, związany z kultem, jest powszechnie znany od tysiącleci. Dla niektórych bogiem jest nauka. W tym przypadku nie potrafię ustalić, kiedy były jej początki, mogę natomiast wyraźnie stwierdzić, że w XXI wieku stała się uznanym bóstwem. Co inni na ten temat myślą – to ich sprawa. Ja mam swojego. Jest nim Przyroda. Nie muszę się do niej modlić tak, jak inni do swoich bogów. Jej początki giną w mrokach dziejów; jest moim zdaniem najstarszym bóstwem. Mógłbym się jedynie pokłócić z wierzącymi o to, czy to rzeczywiście Bóg stworzył świat, a więc i całą przyrodę. Była ona od początku, a może nawet wcześniej niż On. Jest potężna, a człowiek przy niej to zaledwie pyłek – pęczniejący z biegiem czasu i nadymający się, jakby nie wiadomo kim był. Jest tylko jej niewielką częścią. I choćby z tego powodu Przyroda zasługuje w moim rozumieniu na miano bóstwa. Ludzie na początku, o ile mogą się domyślać, modlili się do niej, a nie do Boga. Przyrodę znali, mieli ją wokół siebie, a bogów jeszcze nie znali. Zdaniem niektórych uczonych – to ich dopiero wymyślili później.

To co czytam o żywieniu przekracza już wszelkie granice. Wszyscy mówią, żeby dostarczać organizmowi jak najlepszych składników odżywczych. Namawiają do spacerów, biegania, nie stresowania się i tysiąca innych rzeczy. Ciągłe w ich głowach powstają nowe, zmieniające się koncepcje dotyczące żywienia. Na punkcie cholesterolu niektórzy mają kompletnego bzika. Najlepiej gdyby go we krwi w ogóle nie było. Teorie niezemskie, a praktyka, niestety, ziemiska.

Dr Andrew W. Saul, znakomity propagator zdrowego żywienia pił soki i gorąco polecał je innym. Nie wiem ile ich pijał dziennie, ale dowiedziałem się, że zmarł jakiś czas temu. I to nawet nie dobił siedemdziesiątki. Na pewno mu smakowały, ale czy to akurat było zdrowe picie, dobry wybór.

Uczeni mają podobno głowy nie od parady. Mózgi ich pracują ekstremalnie ciężko, a może łatwo, kto to wie. Innym radzą co się zowie, przede wszystkim jak jeść, jakich witamin i minerałów sobie dostarczać, a potem zniecka umierają. Niektórzy tajemnicę swojej śmierci zabierają do grobu, ponieważ informacji na co zmarli, trudno znaleźć. Nie będę wymieniał nawet tych najbardziej znanych krzewicieli zdrowego żywienia, bo to nie ma tu większego znaczenia. Na drugim biegunie zwykli, prości ludzie, żyjący w oddaleniu od współczesnych, najbardziej ponoć mądrych (albo wymądrzających się) cywilizacji, głównie zwanych zachodnimi, cieszą się życiem przez długie lata i dożywają lekko dziewięćdziesięciu, nierzadko

ponad stu lat. Wielu z nas się zastanawia, dlaczego ci niby z głową na karku umierają sporo wcześniej od tych z nieporównywalnie tęgimi umysłami. Przecież jeżeli zalecali innym co najlepsze, naukowo bądź nienaukowo, a sami jak można domniemywać odżywiali się według swoich wymysłów, to powinni żyć znacznie dłużej od „zwykłych” ludzi. Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Ze swojego otoczenia mógłbym wymienić co najmniej kilkadziesiąt osób, nie stosujących żadnych diet, ba, nie mających o najnowszych badaniach naukowych w tym względzie najmniejszego pojęcia (i bardzo dobrze), którzy przeżyli wszystkich uczonych nawet największego kalibru jak np. Linus Pauling, a to jeden z najdłużej żyjących. Ja prosty staruszek twierdzę, tak po chłopsku, że to wszystko potocznie mówiąc, ani kupy ani dupy się nie trzyma. Na tym popularnym stwierdzeniu się zatrzymam. Ale tylko zatrzymam, bo jak Bozia da mi jeszcze trochę zdrowia, albo geny nie zawiodą, to będę w następnych częściach co nieco dorzucał.

Głowę mam już tak przepełnioną wiadomościami dopadającymi mnie każdego dnia, że zaczynam chorować. Jeszcze chwila, a zwariuję. To też choroba – i to jaka! Czy jest na to jakaś szczepionka? Wymyślają coraz to nowsze: ta na to, tamta na co innego. Są też preparaty skojarzone, na kilka chorób naraz. Gdybym chciał zaszczepić się na wszystko, aby zapobiec każdej chorobie, musiałbym przyjąć kilkaset dawek. Kto by to wytrzymał? Gdyby raz podano mi „szprycę” na wszystko, może bym się zgodził, ale nie tyle razy! I jeszcze te dawki przypominające – a więc nieustannie by mi o nich przypominano. Ktoś musi mieć w tym interes. Nie, na to nigdy się nie zgodzę.

To nie teoria spiskowa. Obliczyłem, że musiałbym być kłuty kilka razy dziennie. A gdybym zapytał, jak długo jeszcze to dżganie będzie trwało lub kiedy z tym skończą, usłyszałbym pewnie, że już do końca życia. Tak mi powiedziano na przykład przy nadciśnieniu. W skórze miałbym same dziurki od igieł. Jak bym wyglądał? Choćby tylko z tego powodu nie dam się kłuć. Nie mógłbym pokazać się na dworze. Sąsiedzi pytaliby latem: „Dlaczego on taki podziobany?”. Nie, zdecydowanie jestem przeciw „dziurkowaniu”. Nadmienię, że dotyczy to tylko mnie – na innych mogą się wyżywać. Czy przeprowadzono już jakieś kontrolowane badania kliniczne, aby udowodnić, że to konieczne, bo inaczej cała ludzkość wymrze? Nie ryzykowaliby tego, bo zbyt dużo mogliby na tym stracić.

Wszędzie nawołuje się do wzmacniania organizmu w celach obronnych. Immunoterapia stała się modna. Widać niezwykle upór w dążeniu do tego, aby jak najdłużej utrzymać się przy życiu. Zwykli ludzie na ogół nie interesują się własnym zdrowiem, pozostawiając je innym – ekspertom i specjalistom (co w sumie wychodzi na jedno). Nie mają na to czasu, choć dostęp do informacji jest dla wszystkich równy i nieograniczony.

A na co mają czas i ochotę? Mówiąc krótko: napychają się bez umiaru cukrem i jego pochodnymi, ponieważ to, co słodkie, jest smaczne, a bez wyrazistego smaku niczego nie przełkną (inne „polepszacze” pomijam). Piją alkohol na umór, palą papierosy oraz ich zamienniki, w tym elektroniczne, wydmuchując zdrowie wraz z dymem. Kiedykolwiek się odezwą, gdziekolwiek pójdą, z kimkolwiek się spotkają – od razu czują się zestresowani. Ufają jeszcze lekarzom, znacznie mniej publicznej ochronie zdrowia (choć to w zasadzie to samo). Z wrodzoną sobie bezmyślnością postępują nierozsądnie, a potem narzekają na wszystkich dookoła. Wierzą w powszechną uczciwość, nie dostrzegając zakłamania i innych wad, które sami posiadają, a do których nie chcą się przyznać. Kto zainfekował rodzaj ludzki tymi ciemnymi stronami? No kto? Tak było od początku i tak będzie do końca – prawdopodobnie marnego. Wszystkie te nawoływania, dyskusje, polemiki, kłótnie i spory można skwitować jednym powiedzeniem: „Psy szczekają, a karawana jedzie dalej”. Z tym że karawaniarzy teraz przybyło.

Z drugiej jednak strony koty, psy i pozostałe zwierzęta nie piją, nie palą, nie jedzą słodyczy i nie posiadają wielu innych cech przypisanych człowiekowi, a mimo to chorują. Cierpią niebawale, głównie przez ludzi, i – jak miałem okazję się przekonać – znoszą wszystko, co je otacza, z pokorą i spokojem (tego, co myślą o ludziach, mogę się tylko domyślać). One również trafiają do weterynarzy, a raczej są tam zaciągane. Niektóre sobie to chwala, inne nie. I wyjątkowo w tym, jak mi się zdaje, są do nas podobne.

Bieda i bogactwo, bogactwo i bieda – dwa przeciwległe bieguny. Oczywiście różnią się one od siebie wielkością. Można powiedzieć, że jedni się na nich mieszczą, a inni nie. Co znajduje się na pierwszym miejscu? To zależy od podejścia, choć wydaje się, że jednak bogactwo. Już na samo wspomnienie o biedzie robi się niedobrze. Poza tym bogaci stawiają pieniądze na piedestale, a biedni robią to samo, ponieważ większość z nich o owym bogactwie marzy. Z tego punktu widzenia jest to prawdą.

Jednak, jak zwykle, perspektyw jest wiele. Statystycy uważają na przykład, że bieda panuje na Ziemi od zawsze, co wynika z licznych opracowanych przez nich tabel. Liczby nie kłamią. Nie chcąc tracić czasu na zbędny wysiłek, sprawdziłem to w Google. AI ma „łeb nie od parady” – na pytanie o to, ilu jest na świecie bogatych, a ilu biednych, natychmiast skierowała mnie na strony, z których dowiedziałem się, że „1% ludzi posiada więcej niż reszta ludzkości razem wzięta”. Inne źródła zajmują się tymi danymi jeszcze bardziej szczegółowo.

Z powyższego nasuwa się następujący wniosek: cały ten proces bogacenia się i ubożenia odbywał się czymś kosztem. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że koszty te ponosili i ponoszą do dziś biedacy. Temat bogactwa i biedy wałkowano już nieskończenie wiele razy, więc nie będę tego powtarzał. Można wręcz powiedzieć, że problem ten został tak mocno „rozwałkowany” i rozcieńczony, iż dla mnie nie zostało już nic do dodania.

Ostatnio wiele osób widocznych w sieci mocno się rozkręca. Rozkręca czy skręca – to chyba to samo. Jedni skręcają w prawo, inni w lewo, stając się prawoskrętnymi lub lewoskrętnymi. To zupełnie jak z osławioną witaminą C. Choć w jej przypadku podział ten to ponoć mit, o tyle u wspomnianych osób to szczerza prawda.

Co powoduje, że niektórym tak spodobały się zakręty – a może to już zawirowania – i dlaczego akurat w lewo bądź w prawo? Zawirowania to raczej nie zakręty, ale z drugiej strony, gdy kogoś dopadną, łatwo o skręt. Dzieje się to prawie automatycznie. Człowiek w takim momencie nawet nie wie, że skręca – tak go telepie. Są i tacy, którzy skręcają raz w jedną, raz w drugą stronę, nie mogąc się zdecydować; czują się, jakby nie mieli nic do gadania.

Medycy twierdzą, że to zawroty głowy, a nie skręty, mogą być niebezpieczne. Czy jednak skręcający są ich świadomi? I czy zawsze – niezależnie od powodów – są w wyniku tych manewrów narażeni na opłakane skutki? Powiedziałbym, że to zależy. Jeśli ktoś dobrze skręci, wyjdzie na tym dobrze, a jeśli źle – to źle. To już jego sprawa.

Język angielski psuje polszczyznę. Wbrew staraniom językowych patriotów polskie słowa są zastępowane angielskimi. Żeby rodacy nie musieli się zbytnio trudzić tym, co i na co zamienić, przychodzi z podpowiedzią. Polacy od dawna występują na arenach sportowych jako „Biało-Czerwoni”. Nie chcę w tym miejscu rozstrzygać, czy nazwa ta powinna być pisana wielką, czy małą literą. Skoro jednak przejeśliśmy już tak wiele od tego ogólnoswiatowego hegemonu, nadszedł czas na barwy narodowe. Proponuję przemianować naszych sportowców na „Whites-Reds”. Gdy kibole będą za granicą skandować „Whites-Reds” (tutaj znowu mam dylemat, czy według angielskiej gramatyki stosować wielkie litery), miejscowi od razu zorientują się, o kogo chodzi. Kiedy słyszą okrzyk „Biało-Czerwoni!”, nie mają pojęcia, co on oznacza. Dzięki tej zmianie stalibyśmy się jeszcze bardziej rozpoznawalni. Nawet w Afryce i Azji wiedzieliby, kim jesteśmy. Obecnie, gdy Polacy próbują

przekrzyczeć innych na trybunach, skandując po polsku, przeciwnicy nic z tego nie rozumieją. A przecież chodzi o to, aby wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Jeszcze bardziej zaniedbałem język śląski. A przecież Ślązacy cały czas o niego walczyli i wreszcie w 2024 roku stało się: uznano go za język regionalny. Cofnę się jednak do połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Przyjechałem do Katowic jako gorol. Wtedy mieszkali tu prawie sami hanysy. Gorole to ci, którzy przybywali z innych części Polski, a hanysy to miejscowi, autochtoni.

W szkole podstawowej było nas tylko trzech goroli. Kiedy przezywano nas w ten sposób, miejscowi bardzo się cieszyli. Gdy jednak my nazywaliśmy ich hanysami, nie miało to tak pejoratywnego znaczenia – a w każdym razie nie obrażali się tak bardzo jak my. Trzeba pamiętać, że oni wychowali się w rodzinach żyjących na śląskiej ziemi od pokoleń.

Musieliśmy sobie jakoś radzić, a opanowanie języka w wieku dziesięciu lat nie stanowiło żadnego problemu. Poszło gładko. Tak szybko nasiąknąłem gwarą, że kiedy pojawiałem się we Wrocławiu, wszyscy myśleli, iż przyjechał rodowity hanys. W szkole podstawowej mieliśmy więcej luzu, natomiast w średniej wymagano od nas już literackiej polszczyzny. Niektórzy na lekcjach zapominali się i mieszała słowa polskie ze śląskimi. Nauczyciele im tego nie wypominali, bo wszyscy wiedzieliśmy, co one znaczą.

W tle tych wzajemnych docinków dochodziło czasem do bójk. Oni mieli przewagę liczebną, ale w naszej trójce był Andrzej, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać i rozstawiał hanysów po kątach na szkolnym korytarzu. Mieli przed nim respekt. Ja zaś, choć nie tak rosły jak krajan z Wielkopolski, ogrywałem ich bezlitośnie podczas futsalowych pojedynków na boisku. Było wtedy mnóstwo miejsca do grania w piłkę – teren w pobliżu dworca kolejowego był luźno zabudowany, więc chętnie tam przebywaliśmy.

Podczas takich podwórkowych spotkań królował oczywiście język śląski. Bywałem często w domach koleżanek i kolegów, gdzie mówiło się wyłącznie po śląsku. Choć w „godce” nie dorównywałem ich rodzicom, chętnie uczestniczyłem w rozmowach. Podobał mi się ten akcent i specyficzny, przyjemny nastrój, mimo że u autochtonów występowało wtedy bardzo wiele germanizmów (zapożyczeń z języka niemieckiego).

Obserwuję, co medycy nakazują ludziom i jakie badania każą im wykonywać regularnie już po trzydziestce – po pięćdziesiątce ta litania znacznie się wydłuża. Po osiemdziesiątce liczba zaleceń gwałtownie spada, bo w tym wieku cudów już nie ma. Staruszki mają portfele opróżnione, a i statystyki „odejściowe” takich biedaków są niezbyt interesujące, więc lepiej ich – z tych i wielu innych powodów – nie męczyć. Po prostu się to nie opłaca.

Skoro wszyscy są tacy mądrzy, niech odpowiedzą na podstawowe pytanie: czy to Bóg stworzył człowieka, czy człowiek Boga? Odpowiedź powinna być jedna, a ciągle słychać dwie, lansowane i podtrzymywane przez ich zwolenników. Nikt jednak nie potrafi dowieść wyłącznej słuszności którejś z nich. Najrozmaitsze poglądy i postawy – naukowe oraz nie-naukowe – ścierają się od początku i nie potrafią się na tyle zbliżyć, aby dojść do porozumienia. I tak już pozostanie. Sztuczna inteligencja też jest w tym przypadku rozbrajająco szczerą, zaślaniając się wielością perspektyw. Dobre i to.

Które informacje są wiarygodne? Z ich nadmiarem mało kto sobie radzi. Prawie wszyscy ledwo unoszą głowy nad powierzchnię wszechobecnego wodolejstwa. Jak sobie z tym poradzić? Nie ma rady. Podobnie jest z kłamstwem i wieloma innymi cechami przypisanymi człowiekowi. Nikt nie wie, dokąd zaprowadzi nas ludzki rozum.

Tylko prawnik wie, jak interpretować paragrafy jakiegokolwiek kodeksu – reszcie wara od tego. Tylko polonista wie, gdzie postawić przecinek i jak dzielić wyrazy – reszcie wara od tego. Tylko medyk wie, dlaczego boli gardło i skąd biorą się biegunki – reszcie wara od tego. Tylko ksiądz wie, co Pan Bóg powiedział i czym diabeł kusi – reszcie wara od tego. Tylko magik wie, jak wyciągnąć królika z kapelusza – reszcie wara od tego. Tylko polityk, a może i polityczka, wie, jak wznieść się na szczyty władzy – reszcie wara od tego. A kto wie, co w trawie piszczy? No właśnie, kto?

Cenzurą jedni się zachwycali, inni wręcz przeciwnie. Aby zrozumieć jej źródła, trzeba cofnąć się do starożytności. W paleolicie nie znano jeszcze pisma, ale istniały już języki – i im bardziej je doskonalono, tym częściej je „prycinano”. Cenzura to przecież nie tylko pismo. Nie wiem, jak sprawa wyglądała w przypadku hieroglifów bądź zapisów sumeryjskich, ale znając tamte realia, domyślam się, że władcy już wtedy mocno się panoszyli. Nie wyobrażam sobie, by nikt ich nie krytykował. Mówi się, że Platon chciał chronić społeczeństwo, cenzurując „złe myśli”. Zdaje mi się, że nie został za to ukarany, choć lata później każdy, kto odważył się na krytykę, musiał ponosić konsekwencje. Możliwe więc, że już wtedy, zanim pozbyto się oponenta, skracano mu język, żeby za dużo nie „paplał” i nie mówił tego, co mu ślina na język przyniesie.

W 1990 roku zachłystywano się zniesieniem cenzury, a mnie się wydaje, że dziś ma się ona całkiem dobrze. Kiedyś cenzurowano „wyczyny” pisemne, a teraz te internetowe. Jakieś uzasadnienie zawsze się znajdzie. Ciekawe, że krytykowany nieustannie wymyślali powody, by ograniczać wolność słowa – najczęściej pod pretekstem ochrony wyższych wartości. A że chronić można niemal wszystko, litania argumentów za owym „ochroniarstwem” jest nieskończona. Cenzorzy mieli zatem duży wybór i łatwo dopasowywali przepisy do swoich potrzeb, czyli do ochrony samych siebie. Trudno w tak spisanej litanii znaleźć cokolwiek, co nie podlegałoby cenzurze.

Z biegiem czasu zjawisko to rozprzestrzeniło się niemal na każdą dziedzinę życia. Nie tylko pisać nie można (chyba że „słusznie”), ale i mówić. Trzeba wszystko trzymać za zębami albo gryźć się w język. Ach, ten język! Okaleczany przez tyle lat, ledwie się już rusza. Człowiekowi zostały na szczęście własne myśli, pod warunkiem, że umiejętnie je skrywa. Jeśli komuś przyjdzie do głowy coś, co nie jest po myśli innych – biada mu. Według niektórych samo „złe myślenie” jest już grzechem. Niełatwo wprawdzie udowodnić komuś, kto skrywa swoje poglądy, że narusza cenzurę, ale i na to znajdzie się sposób: wygnąć te myśli biciem bądź torturami. Wtedy każdy się przyzna; mało kto to wytrzyma. To również prawdziwa metoda cenzurowania ludzkiego ducha.

Aż strach pomyśleć, co będzie, gdy wezmą się za to automaty. To tak krótko i ogólnie – przyjrzyć się jeszcze cenzurze szczegółowej.

W zaleceniach lekarskich bardzo często pojawia się hasło: „proszę ograniczyć stres”. Łatwo im mówić. Ciekawe, jakie metody sami stosują. Jeśli farmakologiczne, to muszą liczyć się ze skutkami ubocznymi – w końcu zawsze o nich przypominają pacjentom, podkreślając, że każdy lek takowe posiada. Jeśli ktoś chce uniknąć lekarzy i działań niepożądanych, musi sięgnąć po inne metody. Wybór jest ogromny, a serwisów internetowych proponujących rozmaite sposoby na odstresowanie – mnóstwo. Można by rzec: co jeden, to lepszy.

Moim zdaniem wszystkie te propozycje są dość naiwne i niepewne: jakieś medytacje, rozciągania, jogi czy biegi. Zwą je rozmaicie, na przykład technikami relaksacyjnymi. Mamią ludzi setkami wskazań, wśród których znajdują się między innymi śpiew i śmiech. No dobrze, dość już tych niekończących się rad. Zatrzymam się nieco dłużej przy jednej z nich, a mianowicie: „wyładuj emocje”.

Metodę tę stosuje się od starożytności. Jestem tego pewien, więc nawet nie sprawdzam źródeł. Pisałem już kiedyś o maczugach – to była broń dosyć skuteczna przy tak zwanym „puszczaniu nerwów”. Ogólnie rzecz biorąc, nie zaszkodziła ona ludzkości (poza nielicznymi jednostkami), ale też nie pomogła w unikaniu stresujących sytuacji. Ludzkość przetrwała i ma się w miarę dobrze. Szkoda, że ten prehistoryczny sposób uspokajania jednych przez drugich wyszedł z użycia, zastąpiony przez coraz to nowsze środki. Niby nowocześniejsze, podobno lepsze, ale gdzie tam... Stres dalej panoszy się na świecie i tak już chyba zostanie do jego końca.

Na temat szczytu w Londynie wypowiedzieli się w grudniu uczestnicy programu „Prezydenci i premierzy”. Jednym z nich był Leszek Miller. Co powiedział? „Więc dzieje się coś nieprzyjemnego dla Polski i dobrze byłoby znać przyczynę tego stanu rzeczy, i naprawdę przestać pudrować. Trzeba powiedzieć wprost: dlaczego nas tam nie ma”.

Panie premierze, niech pan nie wypomina pudrowania innym, bo wprawdzie od pańskiego pudrowania różnych spraw podczas kierowania rządem minęło sporo czasu, ale nie uleciało to z pamięci wielu osób jeszcze żyjących. Tak zwane przez pana pudrowanie nie jest niczym specjalnym ani nowym. To bardzo stary zabieg kosmetyczny znany przede wszystkim paniom, ale jak widać, i panowie, zwłaszcza będący u władzy, od niego nie stronią.

Koniec listopada. Głos zabrał Włodzimierz Czarzasty: „Jeżeli naród żydowski chce być szanowany, to musi szanować inne narody, w tym naród polski”. Szanowny Panie Marszałku, proszę dokładniej zapoznać się z historią obu narodów – z tym, kto, kogo, kiedy i jak szanował. Skomplikowane losy obu nacji (i nie tylko ich) na przestrzeni tysiącleci toczyły się różnie i nic nie wskazuje na zmiany w którąkolwiek ze stron. Historia odcisnęła zbyt duże piętno na wzajemnych relacjach. Poza tym, jak wiadomo, dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane.

Często trafiam przypadkiem na liczne strony internetowe poświęcone reklamowaniu i doradzaniu, co należy brać oraz kiedy i jak to stosować, aby sobie pomóc bądź ulżyć w uciążliwych problemach zdrowotnych. To swoistego rodzaju wędki zarzucane na internautów, a może nawet sieci o drobnych oczkach, przez które trudno się przecisnąć. W tak zwanym oknie na świat jest ich jak mrówek, a może i więcej, bo przecież nawet te stworzenia są już na skraju wyczerpania.

Nie zamierzam reklamować żadnego produktu z tej kategorii. Rzadko ich próbowałem, bo i tak w niczym mi nie pomagały. Jednak odkąd modne stały się jelita, mikrobiom czy oś jelito-mózg, i ja postanowiłem poprawić swoje samopoczucie poleceniami przez lekarzy sposobami. W sieci panuje ich mrowie – trudno było wybrać. Zatrzęsienie, rój, rzeka, do licha i trochę. Najpierw następuje długi tekst wprowadzający, skierowany do „internetowych matolów” – do których i ja okresowo się zaliczam – mający rozwiać wszelkie wątpliwości co do skuteczności preparatów w walce ze szkodliwymi drobnoustrojami. Aby wbić to do głowy jak najmocniej (bo przecież tacy czytelnicy mają najwięcej kasy, więc ich łby wcale nie są takie puste), autorzy często posługują się tzw. mitami. Przykładowo: jeśli coś przytaczają jako mit, to zaraz twierdzą, że to albo fałsz, albo „raczej nieprawda”, albo „raczej nie”. Nie wiem, po co to „raczej”. Albo tak, albo nie. Zabezpieczali się, czy co?

Potem, po wielostronicowych wywodach o ogólnej skuteczności probiotyków i prebiotyków, wybierają ten ich zdaniem najlepszy. Zawsze jakoś tak się składa, że jest on dostępny właśnie u nich. Numer jeden. Gdyby czytający chcieli się rozmyślić, załączają rzekome opinie, w których „achom” i „ochom” nie ma końca. Nic, tylko brać, póki towar jest, bo zaraz może zabraknąć. Trzeba było – co rozumiałe – poganiać klienta, bo za rogiem czyhał już następny „miliarder bakteryjny”, który przebijał konkurencję liczbą mikrokultur, a często także ceną.

W staraniach o rzekome zwiększenie korzyści zdrowotnych dla organizmu (a może bardziej w celu podreperowania własnej sytuacji finansowej) wymyślono jeszcze synbiotyki. Ja też połknąłem haczyk, z którego dopiero po pewnym czasie udało mi się uwolnić. Producenci zaczęli się rozpychać łokciami, z biegiem lat dodając do składu kolejne miliardy tak zwanych. dobroczynnych, niemal niezawodnych bakterii. Wybrałem więc największego wówczas „miliardera” światowej firmy (to ważne, bo pełno jest podróbek) i na początku zmagania z zespołem jelita drażliwego łykałem wybrane specyfiki regularnie, zgodnie z ulotką. Miałem nadzieję, że dobre bakterie zasiedlą moje jelita tak skutecznie, że wyeliminują te paskudne. Rozczarowałem się. Moja mikroflora jelitowa wcale się nie zmieniła. Kuracja zawiodła, a ja do tej pory „latam” do domowego przybytku ulgi. Widocznie te gorsze bakterie okazały się silniejsze od tych lepszych.

Te sponsorowane i niesponsorowane teksty od jakiegoś czasu omijam. Zerkam do nich jedynie po to, by się rozweselić w przerwie między lekturą poważniejszych treści, których w sieci jest coraz mniej. To moja opinia i moje doświadczenie – inni mogą mieć inne zdanie. Przeszedłem na naturalne probiotyki, choć zastanawiam się, czy w dzisiejszych czasach są one jeszcze naprawdę naturalne. Nie ma to jednak jak zapamiętana z dzieciństwa mamina kapusta kiszona.

Czy Chiny są komunistyczne, czy kapitalistyczne? Uważam, że panuje tam kapitalistyczny socjalizm i socjalistyczny kapitalizm. Tak wszystko pomieszali, że lepiej się nie dało. I wcale nie najgorzej sobie radzą, choć w szczegółach bywa różnie.

Demokracja to niby dobra rzecz, ale nie do końca. W systemach demokratycznych ludzie również walczą ze sobą do upadłego. Podobno – według niektórych – niczego lepszego dotąd nie wymyślono. Ha! Jeśli jednak polega ona na tym, że wygrywają ci, którzy uzyskają choćby jednoprocetową przewagę w wyborach (bo do nich często demokracja się ogranicza), to reszta mechanizmów wygląda tak samo jak wszędzie indziej, tyle że jest mniej lub bardziej zawoalowana.

Proponuję lepszy system: skończmy z jednym prezydentem i wybierajmy dwóch. Sądzę, że w epoce ciągłych sporów jest to jakieś wyjście. Zwolennicy kandydata, który wygrał niewielką przewagą, mieliby swojego przedstawiciela, a osoby niezadowolone z wyniku – swojego. Wtedy i wygrani, i przegrani byłiby usatysfakcjonowani.

Istnieje tylko jeden warunek: prezydenci muszą ze sobą współpracować. Teoretycznie łatwiej dogadać się dwóm osobom niż milionom ciągle kłócących się obywateli. Choć patrząc na to, co dzieje się obecnie u nas, wydaje się to raczej niemożliwe.

Gadających i piszących dzisiaj obrodziło, za to słuchających i czytających jest coraz mniej. Przychodzi na nich pomór. A ci pierwsi już od urodzenia będą kłopotać.

Chciałbym zakończyć jubileuszową, dwudziestą część *O różnościach* jakimś ważnym tematem. Ważne jest dziś niemal wszystko. Jak słyszę i czytam, rozmaitym formom rehabilitacji poddaje się obecnie znaczna część Polaków – zarówno tych starszych, których straszy się już nie tylko alzheimerem, jak i młodych, zastraszanych nie mniej. Ja nie jestem wyjątkiem. Nie chcąc stracić sprawności umysłowej, obniżającej się u seniorów w naturalny sposób wraz z wiekiem, przystępuję do rzeczy. Wybrałem „wolność”.

O wolności pisano od starożytności i nadal pisać się nie przestaje. Definiowaniem jej zajmowały się najpotężniejsze umysły tego świata. Te umysły robiły swoje (jednym z ich zadań było definiowanie niemal wszystkiego), a pozostali ludzie również swoje, nie przejmując się tymi tęgimi w myśleniu. O tym, że wolność była na samym początku, już dawno zapomniano. W czasach „głęboko” prehistorycznych, jeszcze przedjaskiniowych, żyli

ludzie, którzy o wolności nie myśleli, bo po prostu ją mieli. Nie musieli więc zaprzętać sobie nią głowy. Przekazywanie jej w jakiegokolwiek formie kolejnym pokoleniom było z tego punktu widzenia zupełnie niepotrzebne. Wolność była czymś naturalnym.

Z chwilą coraz większego przeludnienia świata wolność zaczęła z ludzi jakby wyparowywać. Można to porównać do upuszczania powietrza z dętki rowerowej – przez wentyl bądź obok niego, to bez znaczenia. Kiedy człowiek nauczył się pisać, niemal natychmiast zaczął się skarżyć na jej utratę, choć jeszcze nie „na potęgę” (to określenie jest dziś tak popularne w serwisach informacyjnych). Prawie zawsze tak jest: gdy się coś traci, wypada o tym przypominać innym.

Wolność topniała powoli, wręcz się sączyła. Pisano więc o niej coraz więcej i trwało to wieki. Przykładem są długie czasy niewolnictwa, które jeszcze teraz gdzieś rozbłyskują w różnych częściach globu – ukrywane, wstydliwe, będące niewygodną prawdą. I tak jest do dzisiaj. Pole „wolności” zostało już tak zaorane, że następnym pokoleniom niewiele zostało do uprawy. Tak już pozostanie, ponieważ ani nie da się jej w pełni zdefiniować, ani urzeczywistnić w większym stopniu. *C'est la vie*. Teoria to jedno, a praktyka to drugie; obie w tym przypadku bardzo się od siebie różnią. Sprzeczności między nimi w dzisiejszym świecie jest nieskończenie wiele. Ja w każdym razie nie widzę dla wolności przysłowiowego światełka w tunelu – widzę w nim raczej coraz więcej ciemności.

Napisał zimą 2026 roku Eugeniusz Tomczak

© Copyright 2026 by Eugeniusz Tomczak